

Jonathan  
**FRANZEN**

# KOREKTY

fragment

Z języka angielskiego przełożyli  
Joanna Grabarek i Arkadiusz Nakonecznik



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

**KŁĘSKA**

Szli niepewnie długim chodnikiem: Enid utykała, oszczędzając uszkodzone biodro, Alfred mieszał powietrze rozmachanymi rękami i z tupotem stawiał stopy na lotniskowej wykładzinie. Oboje nieśli przewieszane przez ramię torby Nordic Pleasurelines, oboje wpatrywali się w podłogę, trzy kroki do przodu szacując czyhające na nich niebezpieczeństwa. Każdy, kto oderwałby na chwilę wzrok od kłębiących się dokoła nowojorczyków, każdy, kto dostrzegłby słomkowy kapelusz Alfreda sunący wysoko nad tłumem lub żółte wełniane spodnie Enid, opięte ciasno na wykrzywionym biodrze, natychmiast domyśliłby się, że pochodzą ze środkowego zachodu i są mocno onieśmieleni, ale dla Chipa Lamberta, czekającego na nich tuż za stanowiskiem kontroli bezpieczeństwa, byli zabójcami.

W obronnym geście skrzyżował ramiona na piersi, palcami jednej ręki skubiąc żelazny nit w uchu. Obawiał się, że jeszcze chwila, a po prostu go wyrwie, ponieważ ból, jaki sobie zadawał, był znacznie mniejszy niż ten, jakiego potrzebował, żeby się uspokoić. Ze swego stanowiska przy bramce z wykrywaczem metalu obserwował dziewczynę o lazurowych włosach, która wyprzedziła jego rodziców, lazurowowłosą dziewczynę wyglądającą na studentkę college'u, bardzo atrakcyjną nieznaną z przekłutymi wargami i brwiami. Uświadomił sobie, że gdyby mógł kochać się z nią chociaż przez sekundę, wówczas zdołałby stawić czoło rodzicom, a gdyby powtarzał to co minutę przez cały czas pobytu rodziców w mieście, prawdopodobnie nawet zdołałby przetrwać ich wizytę. Chip był wysokim, atletycz-

nie zbudowanym mężczyzną o kurzych łapkach przy oczach i rzadkich jasnoblonde włosach; gdyby dziewczyna zwróciła na niego uwagę, zapewne pomyślałaby, że jest trochę za stary na to, żeby ubierać się w skóry, ale ona tylko przemknęła obok, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, on zaś jeszcze mocniej szarpnął za nit, żeby zagłuszyć ból związany z jej zniknięciem na zawsze z jego życia, po czym skoncentrował uwagę na ojcu, którego twarz właśnie rozpromienił szeroki uśmiech, nieomylny znak, że wypatrzył syna w tłumie obcych ludzi. Alfred podszedł krokiem człowieka brnącego po kolana w wodzie, wyciągnął obie ręce i chwycił Chipa za dłoń i nadgarstek, zupełnie jakby była to lina, którą rzucono, żeby wyciągnąć go z wody.

– No proszę! – zagrzemiał. – No proszę!

Po chwili dokuśtykała Enid.

– Chip! – wykrzyknęła. – Co ty zrobiłeś z uszami?!

– Tato, mammo... – wymamrotał Chip przez zęby, modląc się w duchu, żeby dziewczyna o lazurowych włosach była już daleko. – Cieszę się, że was widzę.

Przez głowę zdążyła mu przemknąć wywrotowa myśl dotycząca bagaży rodziców: albo Nordic Pleasurelines obdarowywało swymi torbami wszystkich klientów, traktując ich w cyniczny sposób jako żywe słupy reklamowe, albo korzystali z tego prostego sposobu ułatwiającego wyłowienie ich z tłumu na miejscach zbiórek albo przesiadek – może miał to być również łagodny sposób budowania poczucia solidarności zespołowej, albo Enid i Alfred pieczołowicie przechowali swoje torby z poprzedniej wyprawy i kierowani bezsensownym poczuciem lojalności zabrali je również tym razem. Tak czy inaczej, Chipem wstrząsnęła chęć rodziców do przyjęcia roli nośników reklamowych, nie powiedział jednak ani słowa, tylko zarzucił obie torby na ramię i ostatecznie pogodził się ze świadomością, że będzie teraz musiał patrzeć na port lotniczy LaGuardia, Nowy Jork, swoje życie, ubrania i ciało ich rozczarowanymi oczami.

Niemal natychmiast zwrócił uwagę na brudną posadzkę, agresywnych szoferów trzymających tabliczki z wypisanymi nazwiskami, pęk splecionych kabli zwisających z dziury w suficie. Do jego uszu dotarło powtórzone wielokrotnie słowo „skurwiel”. Za wielkimi szybami na poziomie bagażowym dwaj Banglijczycy przy wtórze gniewnego trąbienia pchali w deszczu zepsuta taksówkę.

– Musimy być na nabrzeżu o czwartej – poinformowała go Enid. – Zdaje się, że tata chciał zobaczyć twoje biurko w „Wall Street Journal”. Prawda, Al? Al? – powtórzyła podniesionym głosem.

Chociaż nieco przygarbiony, Alfred wciąż prezentował się imponująco. Miał siwe, gęste i błyszczące włosy przypominające futro polarnego niedźwiedzia, oraz potężne barki i ramiona – we wspomnieniach Chipa z dzieciństwa zachowały się głównie jako siła napędowa pasa, którym karcono dzieci, w tym także jego – wypełniające szary tweedowy płaszcz.

– Prawda, że chciałeś zobaczyć biurko Chipa? – wykrzyknęła Enid.

Alfred pokręcił głową.

– Nie mamy czasu.

Taśmociąg wciąż był pusty.

– Wzięłeś tabletkę? – zapytała Enid.

– Tak – odparł Alfred, po czym zamknął oczy i powtórzył kilka razy: – Wziąłem tabletkę. Wziąłem tabletkę. Wziąłem tabletkę.

– Dr Hedgpeth przepisał mi nowe lekarstwo – wyjaśniła Enid Chipowi, który był niemal pewien, że ojciec wcale nie wyraził zainteresowania odwiedzeniem jego miejsca pracy. A ponieważ Chip nie miał nic wspólnego z „Wall Street Journal” – czasopismo, do którego od czasu do czasu nieodpłatnie dostarczał materiały, nazywało się „Warren Street Journal: miesięcznik sztuki transgresywnej”; ostatnio ukończył także scenariusz i od dwóch lat, czyli od chwili, kiedy stracił posadę wykładowcy w college’u sztuk pięknych w D. w Connecticut, pracował również dorywczo jako korektor w wydawnictwie prawniczym Bragg Knuter & Speigh (utrata poprzedniej posady wiązała się z aferą wywołaną przez jedną ze studentek, omal nie zakończoną jego aresztowaniem; przerwane zostało wówczas pasmo jego sukcesów, z których matka z pewnością byłaby dumna), wyjaśnił jednak rodzicom, że zrezygnował z nauczania po to, żeby całkowicie poświęcić się pisarstwu, a naciskany przez matkę wymienił tytuł „Warren Street Journal”, ona zaś nieco się przesłyszała i natychmiast naopowiadała niestworzonych historii Esther Root, Bei Meisner i Mary Beth Schumpert; aczkolwiek podczas comiesięcznych rozmów telefonicznych z matką miał wiele okazji, żeby wyjaśnić nieporozumienie, utwierdzał ją w fałszywych wyobrażeniach, choć sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana, częściowo dlatego, że „Wall Street Journal” był przecież dostępny w St. Jude, a jednak matka ani razu

nie wspomniała o tym, że szukała jego artykułów, lecz ich nie znalazła, co zdawało się dowodzić, iż w głębi duszy doskonale zdawała sobie sprawę z fikcji, częściowo zaś dlatego, iż autor publikacji takich jak *Kreatywne kazirodztwo* i *Doceńmy obskurne motele* starał się utrzymać matkę właśnie w takich złudzeniach, z jakimi „Warren Street Journal” programowo walczył, a mając lat trzydzieści dziewięć, obarczał rodziców winą za to, że jego życie potoczyło się właśnie w taki, a nie inny sposób – wcale się nie zmartwił, kiedy matka zmieniła temat.

– Drżączka znacznie się zmniejszyła – dodała Enid szeptem niesłyszalnym dla Alfreda. – Jedynym skutkiem ubocznym mogą być od czasu do czasu halucynacje.

– Niezły skutek uboczny – mruknął Chip.

– Dr Hedgpeth twierdzi, że stan ojca wyraźnie się poprawił i daje się łatwo kontrolować za pomocą leków.

Alfred rozglądał się po obszernej hali wypełnionej bladymi podróżnymi zgromadzonymi wokół taśmociągów. Na szarej posadzce widniały skomplikowane wzory wyrysowane mokrymi kołami wózków wprowadzonych z zewnątrz. Światło miało barwę choroby komunikacyjnej.

– Nowy Jork! – obwieścił Alfred.

Enid przyglądała się podejrzliwie spodniom Chipa.

– To chyba nie jest skóra?

– Owszem, jest.

– Jak je pierzesz?

– Ich się nie pierze. Są jak moja własna skóra.

– Musimy być w porcie najpóźniej o czwartej.

Na taśmociągu pojawiły się pierwsze bagaże.

– Pomóż mi – zażądał ojciec.

Wkrótce potem Chip wyszedł w miotany wiatrem deszcz, uginając się pod ciężarem wszystkich czterech toreb. Alfred poruszał się w niepewny, urywany sposób jak ktoś, kto dobrze wie, że nie powinien się zatrzymywać, ponieważ miałby poważne problemy z ponownym uruchomieniem. Enid kuśtykała z tyłu, starając się oszczędzać bolące biodro. Od czasu gdy Chip widział ją ostatnio, przybrała nieco na wadze i może trochę się skurczyła. Zawsze była ładną kobietą, on jednak dostrzegał w niej wyłącznie osobowość, nie zaś osobę, w związku z czym nawet kiedy na nią patrzył, nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, jak ona wygląda.

– Co to? Kute żelazo? – zapytał Alfred w posuwającej się powoli na przód kolejce do taksówek.

Chip odruchowo sięgnął do ucha.

– Tak.

– A wygląda jak stary ćwierćcalowy nit.

– Bo to jest nit.

– Jak go się zakłada? Nitownicą?

– Nie, wali się młotkiem.

Alfred skrzywił się i ze świstem wciągnął powietrze przez zęby.

– Bierzemy udział w wycieczce Barwy jesieni – oznajmiła Enid, kiedy już siedzieli w taksówce mknącej ulicami Queens. – Płyniemy aż do Quebecu, a potem z powrotem i podziwiamy zmieniające się kolory drzew na brzegu. Ojcu bardzo się spodobała nasza poprzednia wycieczka. Prawda, Al? Prawda, że spodobała ci się poprzednia wyprawa?

Deszcz wściekle chłostał ceglane obmurowania brzegów East River. Chip dałby wiele za czyste niebo, pełne słońce, błękitną wodę. Tego dnia jedynym żywym kolorem na drodze były rozmazane za szybą czerwone światła stopu.

– To jedno z najwspanialszych miast świata – powiedział Alfred z przekonaniem.

– A tak w ogóle, to jak się czujesz, tato? – wyduśił z siebie Chip.

– Gdybym czuł się trochę lepiej, byłoby mi jak w niebie, a gdybym czuł się trochę gorzej, byłoby mi jak w piekle.

– To wspaniale, że masz tę nową pracę – powiedziała Enid.

– Jedna z najlepszych gazet w kraju: „The Wall Street Journal”! – zadudnił Alfred.

Enid zmarszczyła nos.

– Dlaczego tu tak czuć rybami?

– Bo jesteśmy blisko oceanu – odparł Chip.

– Wcale nie. – Pochyliła się i przytknęła nos do rękawa jego kurtki. – To ty! Chip, twoje ubranie cuchnie rybami!

Wyrwał rękę z jej uścisku.

– Mamo, daj spokój.

Problem Chipa polegał na utracie pewności siebie. Dni, kiedy mógł sobie pozwolić na *épater les bourgeois*, dawno już minęły. Poza mieszkaniem na Manhattanie i piękną przyjaciółką, Julią Vrais, nie miał już ni-

czego, co mogłoby utrzymać go w przekonaniu, że jest w pełni sprawnym dorosłym mężczyzną z jakimikolwiek osiągnięciami, nawet jeżeli żadną miarą nie dało się ich porównać z sukcesami jego brata Gary'ego, bankiera i ojca trojga dzieci, ani siostry Denise, która w wieku lat trzydziestu dwóch była menadżerem modnej restauracji w Filadelfii. Jeszcze niedawno miał nadzieję, że do przyjazdu rodziców zdoła sprzedać swój scenariusz, ale pierwszą wersję ukończył dopiero po północy we wtorek, a potem musiał odrobić trzy czternastogodzinne dyżury u Bragga Knutera & Speigha, żeby mieć na sierpniowy czynsz i ze stosunkowo czystym sumieniem zapewnić właściciela mieszkania o swojej wypłacalności we wrześniu i październiku, oprócz tego musiał zrobić zakupy, posprzątać, a wreszcie, dzisiaj tuż przed świtem, napić się przechowywanego pieczolowicie xanaxa. W związku z tym wszystkim niemal od tygodnia nie widział się z Julią ani z nią nie rozmawiał. Nie odpowiedziała na niezliczone nerwowe wiadomości, które zostawił na jej automatycznej sekretarce: czy mogłaby zjeść lunch z nim, Denise i jego rodzicami w sobotę w południe i żeby w miarę możliwości nie wspominała o tym, że jest mężatką. Nie zadzwoniła ani nie przysłała maila, co nawet kogoś znacznie bardziej stabilnego emocjonalnie od Chipa skłoniłoby do niepokojących domysłów.

Na Manhattanie lało tak mocno, że woda spływała po elewacjach i pienila się wokół studzienek ściekowych. Kiedy taksówka zatrzymała się przed budynkiem przy Dziewiątej Wschodniej, Chip wziął pieniądze od Enid i podał je kierowcy przez okienko w przezroczystej przegrodzie. Zaraz po tym, jak taksówkarz w turbanie powiedział „dziękuję”, Chip uświadomił sobie, że napiwek jest za niski, wyjął z portfela dwa dolarowe banknoty i poklepał nimi kierowcę po ramieniu.

– Wystarczy! – zaskrzeczała Enid, próbując złapać go za rękę. – Przecież podziękował!

Ale pieniądze już znikły. Alfred mocował się z drzwiami, usiłując otworzyć je korbką od szyby.

– Za to trzeba pociągnąć, tato.

Chip prawie położył im się na kolanach, żeby dosięgnąć klamki.

– Ile dałeś mu napiwku? – zapytała Enid, kiedy pod osłoną markizy czekali, aż taksówkarz wyjmie torby z bagażnika.

– Jakies piętnaście procent.

– Na moje oko to było co najmniej dwadzieścia.



- Świetnie, pokłóćmy się o to. Czemu nie?
- Dwadzieścia procent to dużo za dużo – odezwał się Alfred grzmącym głosem. – Trzeba zachować rozsądek.
- Życzę miłego dnia wszystkim państwu bardzo – powiedział kierowca właściwie bez ironii w głosie.
- Napiwek to nagroda za jakość usługi i uprzejmość – ciągnęła Enid.
- Jeśli jestem z nich wyjątkowo zadowolona, mogę dać piętnaście procent, ale automatyczne doliczanie...
- Przez całe życie cierpię z powodu depresji – powiedział Alfred, a w każdym razie tak to zabrzmiało.
- Słucham? – wykrztusił Chip.
- Lata depresji mnie zmieniły. Zmieniły też wartość dolara.
- Aaa... Chodzi ci o depresję ekonomiczną? Kryzys?
- Poza tym zadowolenie albo niezadowolenie z poziomu usługi można wyrazić na wiele sposobów – mówiła dalej Enid.
- Niemniej jednak dolar to wciąż dużo pieniędzy – stwierdził Alfred.
- Piętnaście procent to dużo, naprawdę bardzo dużo.
- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego o tym rozmawiamy – powiedział Chip do matki. – Dlaczego rozmawiamy właśnie na ten temat, a nie na jakiś inny.
- Nie możemy się doczekać, żeby zobaczyć twoje miejsce pracy – odparła Enid.
- Portier imieniem Zoroaster pomógł im wnieść bagaże i wstawił je do powolnej windy. Enid mówiła prawie bez przerwy.
- Parę dni temu spotkałam w banku twojego przyjaciela Deana Dribbleta. Pyta o ciebie za każdym razem, kiedy mnie widzi. Twoja nowa praca wywarła na nim wielkie wrażenie.
- Dean Dribblett nie był moim przyjacielem, tylko kolegą z klasy.
- Właśnie urodziło im się czwarte dziecko. Czyba mówiłam ci o tym ich ogromnym domu w Paradise Valley? Al, zdaje się, że doliczyłeś się osiemiu pokoiów?
- Alfred wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem. Chip nacisnął przycisk zamykania drzwi.
- Byliśmy tam w czerwcu na parapetówce – ciągnęła Enid. – Było wspaniale. Zamówili firmę cateringową, a na stołach piętrzyły się piramidy krewetek. Słowo daję, piramidy. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

– Piramidy krewetek – powtórzył Chip.

Drzwi wreszcie się zamknęły.

– Dom jest przepiękny. Ma co najmniej sześć pokoi i wygląda na to, że niedługo w każdym ktoś będzie mieszkał. Dean to prawdziwe dziecko szczęścia. Doszedł do wniosku, że prowadzenie zakładu pogrzebowego to nie dla niego – wiesz, Dale Driblett, ten od Kaplicy Dribletta, to jego ojczym – założył firmę ogrodniczą i teraz gdziekolwiek spojrzeć, pełno jego reklam, a ostatnio zajął się też ubezpieczeniami zdrowotnymi. Przeczytałam w gazecie, że ma najwięcej klientów w St. Jude. Doskonale sobie radzi, naprawdę.

– Ależ wolno jedzie ta winda – odezwał się Alfred.

– Bo to przedwojenny budynek – wyjaśnił Chip oschłym tonem. – Bardzo piękny budynek.

– A wiesz, jaką niespodziankę szykuje matce na urodziny? Ona jeszcze o niczym nie wie, ale ja już mogę ci powiedzieć. Zabiera ją na osiem dni do Paryża. Dwa bilety pierwszej klasy, osiem noclegów w Ritzu, wyobrażasz sobie? Taki już jest ten Dean: bardzo rodzinny. Wspaniały prezent urodzinowy, nie sądzisz? Al, czy to ty mówiłeś, że ten dom musiał kosztować co najmniej milion dolarów? Al?

– Dom jest duży, ale tandetnie zbudowany – odparł Alfred z zaskakującą energią. – Ściany ma jak z papieru.

– Wszystkie nowe domy są takie.

– Zapytałaś mnie, co myślę o tym domu. Moim zdaniem jest za bardzo na pokaz. Krewetki też były na pokaz. Nie smakowały mi.

– Może były mrożone.

– Ludzie łatwo zachwycają się takimi rzeczami – ciągnął Alfred. – Potem całymi miesiącami opowiadają o piramidach krewetek. Widzisz? – zwrócił się do Chipa jak do neutralnego obserwatora. – Twoja matka wciąż o nich mówi.

Chip przez chwilę odniósł wrażenie, że ojciec zamienił się w sympatycznego nieznanego staruszka, wiedział jednak dobrze, że prawdziwy Alfred jest krzykaczem i piniaczem. Kiedy ostatnio odwiedził rodziców w St. Jude – było to cztery lata temu – zabrał ze sobą swoją ówczesną przyjaciółkę Ruthie, tlenioną młodą marksistkę z północnej Anglii, która w rekordowo krótkim czasie naraziwszy się Enid na niezliczoną liczbę sposobów (paliła papierosy w domu, parsknęła śmiechem na widok uko-

chanej akwareli Enid przedstawiającej pałac Buckingham, przysłała na kolację bez biustonosza i nawet nie spróbowała majonezowej sałatki z orzechów, gruszek i sera, którą Enid przygotowywała jedynie na największe rodzinne uroczystości), tak długo drażniła i judziła Alfreda, aż ten wyraził głośno opinię, że „czarni” doprowadzą ten kraj do upadku, że nie są zdolni do pokojowego współistnienia z białymi, że oczekują, iż rząd rozwiąże wszystkie ich problemy, nie wiedzą, co to znaczy uczciwa praca, brakuje im dyscypliny, że wszystko to doprowadzi do rzezi na ulicach, tak! do rzezi na ulicach!, że nic go nie obchodzi, co Ruthie o nim myśli, ponieważ jest gościem w jego kraju i w jego domu, więc nie ma prawa niczego oceniać ani tym bardziej krytykować. Przez cały czas Chip, który wcześniej ostrzegł Ruthie, że jego rodzice należą do osób o najbardziej wstecznych poglądach w Ameryce, uśmiechał się do niej, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem? Widzisz, nie przesadziłem ani odrobinę!”. Odchodząc od niego niespełna trzy tygodnie później, oświadczyła, że przypomina swojego ojca dużo bardziej, niż mu się wydaje.

– Musisz jednak przyznać, Al – powiedziała Enid, kiedy winda zatrzymała się z szarpnięciem – że przyjęcie było wyjątkowo udane i że to bardzo miło ze strony Deana, że nas zaprosił.

Alfred jakby jej nie słyszał.

Przy drzwiach mieszkania Chipa stała oparta o ścianę przezroczysta parasolka. Chip z ulgą rozpoznał w niej własność Julii Vrais. W chwili gdy wytaszczył z windy bagaże rodziców, drzwi się otworzyły i na korytarz wyszła Julia we własnej osobie.

– O! – powiedziała na jego widok, nieco zmieszana. – Wcześniej jesteś.

Zegarek Chipa wskazywał 11.35. Julia miała na sobie pozbawiony fasonu lawendowy płaszcz przeciwdeszczowy, w ręce trzymała papierową torbę na zakupy z nadrukiem DreamWorks. Długie czekoladowe włosy miała nastroszone od wilgoci i wiatru.

– Witaj – powiedziała osobno do Alfreda i Enid takim tonem, jakim przemawia się do dużych oswojonych zwierząt, oni zaś przedstawili się chóralnie, wyciągnęli ręce do uścisku, niemal wepchnęli ją z powrotem do mieszkania. Enid bezzwłocznie zasypała ją pytaniami, z których Chip, podążając za nimi z bagażami, bez trudu wyławiał podwójne i potrójne znaczenia.

– Mieszkasz gdzieś blisko? (Chyba nie mieszkasz z naszym synem, prawda?) Pracujesz w mieście? (Masz pracę? A może pochodzisz

z jakiejś snobistycznej, nadzianej rodziny ze wschodniego wybrzeża?) Wychowywałaś się w Nowym Jorku? (Czy urodziłaś się gdzieś za Apalachami, tam gdzie ludzie mają otwarte serca i z reguły nie są Żydami?) Naprawdę masz rodzinę w Ohio? (Czy twoi rodzice poszli za modą i podjęli wątpliwą moralnie decyzję o rozwodzie?) Masz rodzeństwo? (Jesteś rozpieszczoną jedynaczką, czy może katoliczką z milionem rodzeństwa?)

Zakończywszy wstępne przesłuchanie, Enid skoncentrowała się na mieszkaniu. Cierpiący ostatnio na brak pewności siebie Chip podjął próbę poprawienia jego wyglądu. Za pomocą preparatu w aerozolu usunął z czerwonej kanapy wielką plamę po spermie, wyrzucił przyrastającą w tempie kilku sztuk tygodniowo kolekcję korków po winie, zdjął ze ściany w łazience fotografie męskich i żeńskich narządów płciowych stanowiące chlubę jego zbioru sztuki nowoczesnej, a zastąpił je trzema dyplomami, które Enid dawno temu kazała dla niego oprawić. Jednak rano, uznawszy zapewne, że zrezygnował ze zbyt wielkiej części swojej osobowości, przed wyjazdem na lotnisko ubrał się w skórę.

– Ten pokój jest mniej więcej wielkości łazienki w domu Deana Dribletta – stwierdziła Enid. – Nie sądzisz, Al? – Alfred z uwagą przyglądał się wierzchom dłoni. – W życiu nie widziałam równie wielkiej łazienki.

– Enid, nie masz za grosz taktu – powiedział Alfred.

Gdyby Chip choć przez chwilę się zastanowił, mógłby i tę uwagę uznać za nietaktowną, sugerowała bowiem, że jego ojciec podziela opinię matki i ma jej za złe tylko to, że wyraziła ją na głos, ale Chip myślał wyłącznie o suszarce do włosów wystającej z papierowej torby Julii. To była jej suszarka, którą trzymała w jego łazience. Wyglądało na to, że Julia zmierza w kierunku drzwi.

– Dean i Trish mają wannę z hydromasażem, prysznic i zwykłą wannę – ciągnęła niezrażona Enid. – I osobne umywalki, ma się rozumieć.

– Przykro mi, Chip – powiedziała Julia.

Dał jej znak ręką, żeby chwilę zaczekała.

– Zjemy lunch, jak tylko przyjdzie Denise – poinformował rodziców. – Całkiem zwyczajny lunch, nic specjalnego. A na razie czujcie się jak u siebie w domu.

– Miło było was poznać! – zawołała Julia, po czym dodała znacznie cichszym głosem: – Będzie Denise, dasz sobie radę.

Otworzyła drzwi.

– Przepraszam was na chwileczkę – rzucił Chip do rodziców i wyszedł za Julią, zamykając za sobą drzwi. – To bardzo niewłaściwy moment na takie rzeczy – stwierdził z wyrzutem. – Bardzo, bardzo niewłaściwy.

Julia odgarnęła kosmyki włosów ze skroni.

– A ja bardzo się cieszę, że po raz pierwszy w życiu w takiej sytuacji udało mi się postąpić zgodnie z moim interesem.

– Doskonale. Gratuluję. – Spróbował się uśmiechnąć. – Ale co ze scenariuszem? Czy Eden już go czyta?

– Myślę, że przeczyta go w ten weekend.

– A ty?

– Ja... – Julia odwróciła wzrok. – Już przeczytałam. Większość.

– Mój pomysł polegał na tym, żeby na samym początku zmusić widza do odrobiny wysiłku, żeby pokazać mu coś odstręczającego. To typowa postmodernistyczna metoda. Później robi się znacznie ciekawiej.

Julia bez słowa ruszyła w kierunku windy.

– Dużo zostało ci do końca?

– Chip! – wybuchnęła z rozpaczą w głosie. – Twój scenariusz zaczyna się od sześciostronicowego wykładu o roli fallusa w dramacie elżbietańskim!

Chip doskonale o tym wiedział. Od kilku tygodni niemal co noc budził się przed świtem ze skurczonym żołądkiem i zaciśniętymi zębami, przygnieciony pozostałym po nocnym koszmarze przekonaniem, że w scenariuszu współczesnego filmu mającego przyciągnąć do kin tłumy widzów raczej nie ma miejsca na długi naukowy monolog dotyczący zawilności dramatu elżbietańskiego. Czasem potrzebował kilku godzin – wstawał z łóżka, wędrował w tę i z powrotem po mieszkaniu, popijając merlota albo pinot grigio – aby odzyskać wiarę w to, iż umieszczenie na samym początku takiego monologu nie tylko nie jest błędem, lecz wręcz przeciwnie, doskonałym zabiegiem marketingowym. Teraz jednak wystarczyło mu spojrzeć na Julię, aby zrozumieć, że się mylił.

Skinąwszy energicznie głową na znak, że całkowicie zgadza się z jej krytyczną oceną, otworzył drzwi i wykrzyknął:

– Jedną chwileczkę! Mamo, tato... Jedną chwileczkę!

Ta krótka przerwa całkowicie wystarczyła, żeby głowę wypełniły mu wielokrotnie przemielone argumenty.

– Zrozum, w tym monologu zawiera się zapowiedź całej intrygi! Są w nim załączki wszystkich problemów: różnice płci, walka o władzę, o tożsamość, o autentyczność... A najważniejsze jest to, że... Zaczekaj! Julio, zaczekaj.

Zatrzymała się przy windzie z pochyloną głową, jakby miała nadzieję, że w ten sposób stanie się niewidzialna.

– Najważniejsze jest to, że ta dziewczyna siedzi w pierwszym rzędzie i słucha tego wykładu. To kluczowa scena! Fakt, że to on przemawia, a ona słucha, oznacza...

– I chyba trochę za często wspominasz o jej piersiach.

To także była prawda, niemniej poruszanie tego tematu odebrał jako rażącą niesprawiedliwość, bo gdyby nie piersi głównej bohaterki, a raczej gdyby nie jego wyobrażenia na ich temat, z pewnością nie zdołałby napisać tego scenariusza.

– Może i masz rację, choć nie robię tego bez powodu. Chodziło mi o podkreślenie ironii wynikającej z faktu, że ona jest zafascynowana jego umysłem, a on...

Julia nie pozwoliła mu dokończyć.

– Kobieta, która to czyta, może pomyśleć, że ma do czynienia z książką kucharską *Potrawy z drobiu*. Piers, pierś, pierś, udo, noga, pierś...

– Mogę usunąć część tych scen. Mogę też skrócić początkowy monolog. Chodziło mi tylko o to, żeby...

– ...zmusić widza do odrobiny wysiłku. Tak, wiem. Doskonały pomysł.

– Zostań na lunchu. Proszę cię, Julio. Bardzo cię proszę.

Dotknęła drzwi windy, które rozsunęły się jak na zawołanie.

– Wydaje mi się jednak, że to trochę obraźliwe wobec tej osoby.

– Ale przecież to nie ty! Ta postać nie ma z tobą nic wspólnego!

– Pięknie. A więc to jakieś inne piersi.

– Boże, Julio, proszę. Zaczekaj chwilkę.

Otworzył drzwi mieszkania i stanął twarzą w twarz z ojcem. Wielkie ręce Alfreda drżały gwałtownie.

– Poproś ją, żeby została. Powiedz jej, że chcemy, żeby została!

Chip skinął głową, zatrzasnął drzwi, ale Julia już zdążyła zniknąć w windzie. Dopadł przycisku i kilka razy uderzył w niego dłonią; nie dało to żadnego rezultatu, więc odwrócił się na piętrze, otworzył drzwi przeciwpożarowe i popędził w dół po schodach.